

# Sprawozdania i recenzje

ETYKA 6, 1970

KSIĘGA JUBILEUSZOWA DLA MARII OSSOWSKIEJ

*MORALNOŚĆ I SPOŁECZEŃSTWO. Księga jubileuszowa dla Marii Ossowskiej*, PWN, Warszawa 1969, ss. 363.

Książkę otwiera zwarty traktat Mariana Przełęckiego, *O metaforze w filozofii*, szczególnie interesujący jako *signum temporis*. Lat temu niewielkie kilkadziesiąt współtwórcy i rzecznicy filozofii rozumianej jako nauka o nauce odcinali się stanowczo od filozofii rozumianej jako metafizyka, i uznawanej przez nich za dziedzinę pustosłowia. Dziś jest inaczej i mamy tego przykład. Autor pierwszej części traktatu — to reprezentant filozofii rozumianej jako nauka o nauce. Z maestrią właściwą mistrzom tej specjalności penetruje on sens i rolę metafory w takich czy innych wypowiedziach. Ale tożsamy z nim autor części drugiej z otwartą przyłbicą wstępuje w szranki pod barwami filozofii rozumianej jako metafizyka. Jakże to może być? Jak mogło dojść do tego? Jaka argumentacja przemówiła zwycięsko na rzecz pojednania zwaśnionych potencyj?

Kto by chciał uzyskać na te pytania pełnię odpowiedzi wedle intencji Przełęckiego, musi przestudiować ów traktat, którego streszczać niepodobna bez opuszczenia myśli organicznie należących do rzeczy — tak waży tutaj każde słowo. Ale trzeba powiedzieć, o co chodzi w tym utworze przede wszystkim. Otóż stwierdza się, że nawet najbardziej unaukowieni ludzie nauki, podobnie jak wszyscy w ogóle ludzie myślący, odczuwają potrzebę wizji świata, której nie wyczerpie ani nie zastąpi synteza wyników poznawczych wszech nauk. Ta wizja zawiera nie tylko pozanaukowe domysły mniej lub bardziej uwyrażnione, lecz także ustosunkowania emocjonalne; jest przy tym z natury rzeczy bardziej wizją niż doktryną, a rdzennym ingrediensem jej wypowiedzi musi być metafora i to właśnie metafora nie dająca się przetłumaczyć adekwatnie na słowa już nie przenośne. Oto przykład: w wierszu wyrażającym metafizyczną nadzieję pisze ktoś: „Jeśli urwą się słowa, milczenie zaciąży wiarą. Kiedy upadnę, to na szalę”. „Jest to oczywiście — powiada Przełęcki — sformułowanie świadomie nieokreślone. Wypowiedź głosząca, iż «upadnę na szalę» dopuszcza interpretacje różne — od religijnej wiary w pośmiertny wymiar sprawiedliwości do laickiego przekonania o istnieniu obiektywnych wartości moralnych. Owa metafizyczna intuicja, którą mam na myśli, wydaje się na tyle ogólnikowa, że żadnej z tych interpretacji nie pozwala wyróżnić jako interpretacji właściwej. Toteż jej treść istotną oddaje chyba najlepiej ów prosty metaforyczny zwrot” (s. 26).

Czy słuszne są główne myśli omawianego traktatu? Czy dobre, zbawienne zawiera on rady? Odpowiedź, wedle mego wyczucia, wypadnie ująć wielozłowno. To dobrze, że się kończy faza uczonego ostentacyjnego symplizmu, kiedy w kołach filozofii naukowej traktowano jako problemy pozorne wszelką problematykę ogólnej teorii rzeczywistości, która by nie była problematyką fizykalną. Ale trudno witać z entuzjazmem powrót na tron wypędzonej władczyni, jej królewskiej mości „Metafizyki”. Mówmy o „poglądzie na świat”, mówmy w innym



sensie o „ogólnej teorii rzeczywistości” a jeśli kto chce pod nazwą — „teorii zdażeń” lub „teorii systemów” ... „Metafizykę” pozostawmy dziedzinie bytów minionych. A co do metafory — wielka to prawda, że przydaje się ona nie tylko w poezji, lecz także we wszelkiej fazie czysto poznawczego namysłu, kiedy nie umiemy się jeszcze zdobyć na wypowiedź wolną od przenośni. Wcale nie koniecznie w „metafizyce”. I wielka to prawda, że w zakresie pewnych zagadnień (np. psychologicznych, etycznych i innych) nie umiemy i może nie będziemy umieli wyjść poza metaforę, chociaż w poważnym myśleniu poznawczym zasadniczą jej rolą jest rola prowizorycznego środka wypowiedzi, gotowego ustąpić z placu, gdy się zdobędziemy na środek istotnie właściwy.

Tadeusz Czeżowski dał bardzo krótki a niezmiernie treściwy koncentrat systemu koncepcyj znanego z sześciu wskazanych przezeń artykułów własnych, zatytułowany *Etyka a psychologia i logika*. Autor odróżnia historię pojęć i norm etycznych (wraz z badaniem ich uwarunkowań psychologicznych i socjologicznych) od konstrukcji schematu systemów etycznych, pod który podpadałyby różne poszczególnie systemy, np. etyka Schopenhauera albo etyka Mandeville'a. Sam buduje taki schemat i podaje jego zarys, podkreślając przede wszystkim, że oceny etyczne nie są zdaniami psychologicznymi. Są to natomiast wypowiedzi dotyczące wartości. Wartości nie są pono cechami, lecz sposobami przysługiwania cech przedmiotom. Mamy tu analogię do rzeczywistości, konieczności i możliwości: mówi się np. że dana cecha może przysługiwać danemu przedmiotowi, i jakoś do pewnego stopnia analogicznie mówi się np., że ktoś postępujący miłosiernie postępuje dobrze lub że ktoś postępujący pożytecznie postępuje dobrze. Miłosierdzie, pożyteczność — to przykłady kryteriów, wedle których dokonywa się ocen różnych przedmiotów jako etycznie dodatnich lub ujemnych. Dobrymi nazywa się przedmioty spełniające takie lub inne kryterium oceny dodatniej, a więc np. uczynki miłosierne lub uczynki pożyteczne. Rzecz jasna tedy, zdaniem autora, że oceny, a dalej — normy etyczne, nie są zdaniami psychologicznymi, albowiem zdania psychologiczne stwierdzają, że ktoś przeżywa takie czy inne przeżycia: przedstawienie, sąd, uczucie, gdy sens ocen i norm etycznych jest zgoła inny, zwłaszcza że zdaniem autora istnieje równoważność między oceną „takie a takie rzeczy są dobrami” a normą „takie a takie rzeczy należy realizować”.

Nie miejsce tutaj na wytoczenie licznych zapytań interpretacyjnych, które narzucają się czytelnikowi przy czytaniu tego niezwykle lakonicznego tekstu. Przykładowo tylko: co znaczy, że „wartość jest nieprzedstawialna”? Zgoda na myśl główną, że oceny etyczne to nie konstatacje doznań. Ale nie mogę nie wytoczyć kwestii, z innego punktu widzenia zasadniczej. Oto Czeżowski wyróżnia tylko dwa typy etyki: etykę, która stawia na równi dobra każdego, i etykę egoistyczną, w której ta zasada zostaje zaprzeczona. Gdzie jest tedy miejsce dla etyki, która stawia wyżej dobro cudze nad dobro własne, a są możliwe i takie systemy.

*Zagadnieniem prawdy w etyce* zajmuje się Marek Fritzhand w artykule dowodzącym rozległego znaczenia nowocześniejszej literatury metaetycznej. Wymierza on mocne ciosy w zręby podstawowe różnych wzajem niezgodnych systemów i deklaruje zamiar budowania nowego gmachu na fundamentach bardziej odpornych. Chce mieć etykę jako system ocen i norm prawdziwych. Zapytuje, jakie pojęcie prawdy będzie stosowne dla etyki, i odpowiada, że takie, które w prawdziwym sądzie moralnym widzi sąd uzasadniony w sposób właściwy dla etyki. Otwiera tedy perspektywę określenia terminu „prawda” — przynajmniej dla potrzeb etyki — za pomocą terminu „sąd właściwie uzasadniony”. Ale jaki sąd spełniałby ten warunek, to kwestia, która — jego zdaniem — wymagałaby oddzielnego arty-



kułu. Warto jednak zanotować, w jakich ramach miałyby się toczyć projektowane dociekanie. Z pewnością prawdy etyczne nie są wedle niego stwierdzeniami faktów psychicznych czy też społecznych i na pewno mówią one o tym, co jest godne, a co niegodne aprobaty. Skłonny jest dalej przyjmować tezę, że „myśl *m* jest prawdziwa — to znaczy: myśl *m* stwierdza, że jest tak a tak, i rzeczywiście jest tak a tak”. Ale ta teza sama mu nie wystarcza, ponieważ salwuje wprowadzie obiektywność sądów moralnych, ale „nie mówi ... że przypisuje się im prawdziwość w sensie zgodności z określoną rzeczywistością, poznawczo przez nie odwzorowywaną”. Czy w tym niedosyć nie wyraża się troska o utrzymanie drogiej marksistom-leninistom koncepcji odbicia, jako pewnej interpretacji przytoczonego klasycznego rozumienia prawdy? Chodziłoby w danym przypadku o to, czego odbiciem mógłby być sens predykatu, gdy się trafnie orzeka o czynie, iż jest godny aprobaty (czyli dobry w znaczeniu etycznym).

Obfitujący w dobrane bibliografie cytaty, informacyjny i porządkujący esej Iji Lazari-Pawłowskiej pt. *Rodzaje sporów etycznych* na przykładzie problemu, za co i czy w ogóle należy przestępców karać śmiercią, ukazuje różnorodność i miarę rozbieżności osądów etycznych, rzeczywiście ferowanych. Za Stevensonem autorka odróżnia dwa główne źródła ich odmienności: niezgodę przekonań w kwestiach empirycznych (np. w kwestii, czy ten rodzaj kary dostatecznie odstrasza przestępców potencjalnych) i różnicę założeń aksjologicznych. W tym drugim przypadku przeciwstawia spory z racji odmiennych przeświadczeń podstawowych (jedni dbają o walkę z cierpieniem, jako o sprawę naczelną, inni są zafascynani przede wszystkim o właściwą proporcję między czynem a jego następstwami...) i takie, kiedy obie strony „cenią ten sam zespół wartości, nie są jednak zgodne co do tego, której ... w konflikcie należy się pierwszeństwo”. Zaleca się trafnością, pośród innych walorów eseju, następujące spostrzeżenie metodologiczne: „W pracach metaetyków — czytamy — przewijają się dwa pojęcia uchylania sporu, nie zawsze wyodrębniane. Uchylić spór to ... dyskutantów doprowadzić do tego, aby zaczęli reprezentować te same opinie. W drugim rozumieniu to ...rozstrzygnąć, za którą z ... niezgodnych opinii przemawiają większe racje”.

Krótką, ale pełną ważkiej społecznie treści, bardzo dla naszego *hic et nunc* aktualna notatka Zygmunta Ziemińskiego pt. *Problemy moralne procesów kwalifikacyjnych* alarmuje sumienie ludzi dobrej woli i dobrego serca, którzy jakże często, powodowani życzliwością dla znajomych, próbują wpływać w ich interesie na tok społecznych procedur kwalifikacyjnych, jak konkursy, uzasadnienia awansów itp. Czytajmy z przejęciem ten słuszny apel prawnika i moralisty w jednej osobie.

Żywe jest stale dla moralisty zagadnienie zasad przydzielania każdemu tego, co mu się słusznie należy. Łatwo więc zrozumieć, że artykuł Klemensa Szaniawskiego *O pojęciu podziału dóbr* znalazł miejsce w omawianej kolekcji utworów. Może on mieć bowiem zastosowania etyczne, choć należy w zasadzie do dyscypliny, której uprawianie toczy się na ogólniejszym terenie i nie wymaga operowania terminami swoiście etycznymi. Jest bowiem owa dyscyplina raczej pewnym uogólnieniem ekonomiki (nie ekonomiką po prostu, ponieważ nie wiąże się z koniecznością operowania czy to pojęciem pieniądza, czy to pojęciem gospodarstwa, jako produkcji i wymiany wytworów potrzebnych dla utrzymania życia lub dla posiadania zdrowia, dachu nad głową i odzieży). Interesuje autora w zasadzie kwestia dość ogólna: obmyślić schemat takiego podziału dóbr rozporządzalnych, który by spełniał zarówno warunki równej miary, jak też warunki optymalności. A równa miara jest wtedy, gdy to, co kto dostanie z podziału, nie zależy np. od tego,



którym jest ów ktoś indywiduum wedle uporządkowanego alfabetycznie grona, choć nie przeczyłoby zasadzie równej miary, gdyby to, co kto dostanie, zależało na przykład od jego zasług lub kwalifikacji. Autor bierze jednak na warsztat w niniejszym roztrząsaniu poszczególne, umyślnie jak najbardziej uproszczone przypadki, w literaturze bodaj nie rozważane: dobro dzielone w tym przypadku to zbiór trzech przedmiotów niepodzielnych, a grono użytkowników składa się z trzech osób, z których każda w inny sposób trafnie odpowiada na pytania, który z tych przedmiotów przekłada nad inny spośród nich. Chodzi tu o zasadę równości szans, czyli o prawdopodobieństwo przydziałów zgodnych z preferencjami poszczególnych użytkowników podziału. A zarazem chodzi o optymalność podziału, czyli o to, by w każdym razie nie było przydziału, od którego mógłby trafnie woleć inny przykład choć jeden z uczestników grona przy zadowoleniu pozostałych. I okazuje się, że nawet przy tak mało wymagającej interpretacji niepodobna pogodzić równości szans z optymalnością podziału! Kto chce się o tym przekonać dowodnie, niech sobie zada trud przestudiowania artykułu Szaniawskiego. A tekst to bardzo zwarty, podany bardzo lakonicznie, zakładający obycie się ze strony czytelnika z pewnymi terminami logicznej teorii stosunków, teorii mnogości, statystyki. Niejeden chętnie by widział wyjaśnienie pewnych zależności, wedle Autora oczywistych, oraz eksplikacje wyrażań niezbyt elementarnych, jak np. „randomizacja” albo „warunek parametryczny” itp.

Z innej strony ociera się moralistyka o aparaturę pojęciową ogólnej teorii sprawnego działania, której główny rzecznik w zespole autorskim omawianej książki zbiorowej, Tadeusz Pszczołowski, rozważa *Prakseologiczne dyrektywy i oceny*. Pełno tu zrywów współwzrostu *in statu nascendi*, bo taki jest status aktualny tej powstającej dopiero specjalności badawczej. Jej przedstawiciel i najgorliwszy bodaj współkonstruktor jej słownika zwierza się z różnych kłopotów definicyjnych i klasyfikacyjnych. Próbuje na przykład powiązać wyrazy „nakaz” i „zakaz”, używane jako terminy czysto celowościowe, ze stałością związków międzydarzeniowych, na których miałyby być oparta ich treść, a wyrazy „zalecenie” i „przestroga” — z prawdopodobieństwowym jedynie charakterem tych związków. Własnym jest jego wkładem między innymi pewien system znakowania ocen. Oceny utylitarne dodatnie otrzymują symbol  $u+$ , utylitarne ujemne symbol  $u-$ , ocenom emocjonalnym przyporządkowuje się znaki  $e+$  i  $e-$ , hedonistycznym (przyjemność, przykrość) oznaczenia  $h+$  i  $h-$ , a pośród emocjonalnych odróżnia się moralne  $em+$  i  $em-$  oraz estetyczne  $ee+$  i  $ee-$ . Te skróty pozwalają wyłuszczyć w zwartych słowach np. klasyfikację orzeczników oceniających, a w szczególności podział utylitarnych ocen działania, gdzie mieszczą się wszystkie orzeczniki, które wyrażają aprobatę lub dezaprobatę działań lub ich sprawców, środków, metod itp. z punktu widzenia sprawności. Autor dużo poświęca uwagi zwłaszcza odróżnieniu dyrektyw i ocen sprawnościowych ważnych we wszystkich umiejętnościach, w przeciwstawieniu do tych, które mają walor tylko w jakiejś dziedzinie specjalnej. Przykładem pierwszych — postulat respektowania tak zwanego cyklu organizacyjnego, czyli następującej kolejności etapów działania: postawienie celu, poznanie warunków roboty, dobór środków, realizacja, kontrola. Natomiast np. zalecenie posługiwania się strzykawką wysterylizowaną — to dyrektywa ważna tylko w dziedzinie praktyki lekarskiej. Obawiam się, że wobec braku potrzebnych wyjaśnień czytelnik gotów się domyślać, że autor odróżnia rytmiczność jako walor wszystkich umiejętności, a punktualność — jako zaletę swoiście socjotechniczną. Obie te cnoty sprawnościowe są chyba powszechne, ważne dla wszelkiej dziedziny specjalnej. Pożytecznie jest, jak sądzę, odróżniać jako należące do ogólnej teorii



sprawności to, co ważne dla wszystkich zawodów, a w obrębie ogólnej teorii sprawności odróżniać zalecenia ogólniejsze, ważne dla robót jednostkowych i zespołowych (np. zalecenia rytmiczności) od zaleceń bardziej szczegółowych, np. ważnych tylko w odniesieniu do prac zbiorowych (do takich zaleceń należy np. zalecenie punktualności, jako dotrzymywania umów co do terminów).

W konkluzji roztrząsania pt. *Definicja perswazyjna* Tadeusz Pawłowski słusznie — jak miemam — przeciwstawia się pogładowi, jakoby zasługiwał na dezaprobatę etyczną, ktokolwiek przez głoszenie zmodyfikowanej w stosunku do danego znaczenia definicji określonego terminu zmierza do wyparcia w świadomości odbiorcy tej definicji skojarzonego z danym znaczeniem ładunku emocjonalnego przez inny ładunek emocjonalny... O moralnym charakterze takiego zabiegu rozstrzyga cel, do którego jest on użyty. Tekst wypełniają rozróżnienia typów takich definicji perswazyjnych, ilustrowane starannie dobranymi przykładami. Jeden z nich wzbudza we mnie chęć sprzeciwu: czy rzeczywiście przejęta przeze mnie od Szczepanowskiego definicja dzielności jako sprawności zastosowanej do celów godziwych zmierza do wyparcia oceny użytecznej przez ocenę etyczną? Zmierza ona raczej do wyparcia oceny użytecznej przez ocenę złożoną z aprobaty użytecznej oraz aprobaty etycznej.

Dzieje postaw, praktyk i doktryn moralnych, jak każda historia, wysuwają potrzebę podziału czasu, z którego zawartości historyk zdaje sprawę. I otóż *Dwa zadania periodyzacji* odróżnia Władysław Tatarkiewicz: zapewnienie odwzorowania rzeczywistych przełomów w toku zdarzeń i ułatwienie ujęcia opowieści historycznej przez jej odbiorców. To drugie zadanie czyni pożytecznymi podziały konwencjonalne, np. podział przeszłości na stulecia wedle przyjętej rachuby czasu. Pełnią one jak gdyby rolę automatycznej kartki papieru, na której technik wykreśla zarysy różnych obiektów, uwypatniając różnice rozmieszczenia obiektywnie odmiennych punktów zwrotnych lub obiektywną stopniowość przejść między ich fragmentami. A tu już dają o sobie znać wymagania periodyzacji obiektywnej. A więc stary spór, czy prawda, że *omnis divisio magis artis est quam naturae*, zdaniem wytrawnego i wielostronnego historyka i filozofii i sztuki plastycznej w różnych ich aspektach, musi być rozwiązany dualistycznie: pożyteczne się okazują periodyzacje obu rozważonych rodzajów.

Ile żywych i ważnych kwestyj porusza Jacek Kurczewski w dłuższym studium pt. *Teoretyczne przesłanki socjologii prawa!* Jak zawile się one wzajemnie przeplatają ... Jak trudno czytelnikowi, nie wdrożonemu w styl autora, dorozumieć się dokładnego sensu wnikliwych, ale nieraz zagadkowych jego wypowiedzi! Po trzecim dopiero przestudiowaniu tekstu uzyskałem wrażenie intuicyjnego przejęcia intencji, w tym tekście wypowiedzianych, połączone z przeświadczeniem, że to wycucie sensów nie gwarantuje trafności streszczenia, gdybym się na nie próbował ważyć. Więc powiem tylko to, co uprzytamniam sobie na pewno. Na tle kontynuacji pewnych wskazań metodologicznych Petrażyckiego, zelanta idei adekwatności teorii naukowych i jej warunku w postaci budowania obiektywnie jednorodnych klas omawianych w nauce obiektów, zarysowuje się obraz solidarnej pono z jego tendencjami koncepcji prawa, jako możliwego przedmiotu socjologii prawa. Autor proponuje następującą definicję: Prawem w danej grupie społecznej można nazywać powtarzający się schemat realizacji pożądanego stanu społecznego, występujących w tej grupie. Czy nie za szeroko ujęte zostało „prawo” co do zakresu? Wszak jeżeli wychowawca doprowadza do zaniku kłótności w klasie przez wielokrotne skuteczne kierowanie uwagi młodzieży na przedmiot wspólnie interesujący — to będzie też przypadkiem powtarzającego się schematu realizacji



pożądanego stanu społecznego w danej grupie, a czyżby się miało do czynienia w tym przypadku z jakimś zjawiskiem prawnym? Omawiany utwór jest to studium, do którego warto powrócić, prosząc autora o dalsze wyjaśnienia słów i zwrotów oraz prób uzasadnień poglądów głoszonych.

Stefan Nowak pisze *O pojęciu normy społecznej*. Wyróżnia tezy główne znaczenia temu terminu. Ludzie mówią, że w danym społeczeństwie istnieje taka a taka norma, bądź kiedy jest tam przymus stosowania się do nakazu, bądź kiedy panuje tam poczucie, że się tak a tak powinno postępować, bądź kiedy jest tam rozpowszechniony pewien schemat postępowania. Socjologa interesują między innymi typy konfliktów norm. Bywają konflikty dwojakiego rodzaju: albo wewnętrzne, w każdej z tych trzech kategorii, albo między normami z różnych kategorii. Zestawieniami norm z różnych kategorii interesuje się autor nieco bliżej, stwierdzając, że każda z nich daje trzy możliwości, skąd otrzymuje się 27 typów przedstawionych *ad oculos* w tabelce. Tak więc np. w kategorii przymusowości daną sprawę może regulować norma nakazująca lub norma jej przeciwstawna, lub może być sytuacja zerowa, kiedy brak normy regulującej tę sprawę. Z kolei każdej z tych ewentualności odpowiada bądź istnienie względem niej poczucia powinności, bądź istnienie poczucia powinności względem jej negacji, bądź brak poczucia tak czy inaczej skierowanej powinności (cała ta trichotomia, przyznam, staje się dość zagadkowa w przypadku zerowości przymusu). Razem 9 możliwości. Wreszcie dla każdej z nich mamy bądź idącą po jej linii praktykę społeczną, bądź praktykę społeczną przeciwnie skierowaną, bądź brak w ogóle odpowiedniej, czy to pozytywnej czy negatywnej praktyki społecznej. Takich możliwości będzie więc aż 27. Rzecz jasna, że ta czysto formalna konstrukcja możliwości nie gwarantuje bynajmniej, że każda z nich jest reprezentowana przez jakiś syndrom rzeczywisty, jakiś przynajmniej jeden przypadek realny. Niektóre tylko z wyróżnionych ewentualności mają charakter konfliktów (np. jeżeli praktyka społeczna idzie po linii poczucia powinności przeciwnego nakazowi). Ale każda z nich otwiera perspektywy badania socjologicznego. Mamy tu przypadek schematu pozwalającego automatycznie niejako wykrywać luki w uprawianej faktycznie problematyce badawczej. Coś podobnego robił Bacon w *De Augmentis*, Mendelejew — budując swoją tablicę pierwiastków chemicznych, a podobnie brał się do rzeczy Tykociner w swojej *Zetytyce* poświęconej planowi dociekań naukowych.

Termin „mała grupa” nie mniejsze nastęrcza socjologom trudności niż termin „norma społeczna”, co widnieje z treści artykułu Marii Łoś-Bobińskiej pt. *Pojęcie grupy społecznej w teoriach i badaniach małych grup*. Samo już słówko „mały” okazowo rozlewne pod względem zakresu, informuje o pewnych nie dających się pokonać w pełni trudnościach precyzyjnego badania specyfiki takich grup. Autorka proponuje definicję „małej grupy”, mającą do pewnego stopnia ograniczyć nieostrość tego pojęciowego narzędzia. Wedle jej określenia małą grupę miałyby charakteryzować łącznie: silne poczucie więzi i intensywne kontakty członków. Ale nieuchwytność granic zakresu przerzuca się z „małości” na „siłę” i „intensywność” ... Znowu tedy próba opędzenia się od nieuchwytności przez deklarację, że silne poczucie więzi jest wtedy, kiedy między członkami grupy są stosunki daleko (jak daleko?) odbiegające od obojętności, a intensywne są kontakty wtedy, jeżeli członkowie często (jak często?) się spotykają i korespondują ze sobą. Rozlewność zakresów nie znikła, bo zniknąć nie mogła, a nie jest to przywilej negatywny socjologii, lecz obarcza wszystkie nauki o konkretach. Więc nic dziwnego, że autorka uważa za możliwe systematyczne badanie — w granicach możliwości nauki — też „małych grup”. Wszak trafnie powiedział G. Homans, że „małe grupy



nie są tym, co badamy, ale tym, gdzie badamy" (s. 158). W ten sposób wyraził myśl, że pewne stosunki społeczne uwydatniają się specjalnie wyraziście w takich grupach. Sceptycznie tylko — i słusznie — ustosunkowuje się autorka do prób zastępowania badań małych grup niejako naturalnych badaniami małych grup eksperymentalnych. Łatwo tu o mylące pozorne wyniki.

Podobne kłopoty semiotyczne sprawia termin „kultura” Antoninie Kłoskowskiej, autorce szkicu analitycznego pod zawiłym tytułem *Proces symbolizowania a interakcja społeczna. Koncepcja stosunku społeczeństwa i kultury*. A ponieważ chodzi tu bodaj głównie o ustalenie zadań „socjologii kultury”, przeto miara kłopotów urasta do kwadratu. Uchyleniu podlega tedy takie rozumienie „kultury”, kiedy ktoś np. przeciwstawia kulturę cywilizacji i wiąże z nią jakieś wartościowanie i jakąś pono idealistyczną ontologię. Z drugiej strony nie każde socjologiczne zagadnienie, zawierające jakąś relację do kultury, jest zagadnieniem z „socjologii kultury”. Zakres tej dyscypliny specjalnej wyznacza relacja symbolizowania. Zrealizowana jest ona w pełni, gdy określony ktoś komunikuje jakimś określone mu faktycznemu odbiorcy jakiś znak oznaczający określony desygnat wedle jakiegoś ustalonego społecznie kodu. Ale nader często ta relacja ulega pewnej redukcji, kiedy mianowicie symbol ma tylko potencjalnych odbiorców. Będziemy mówili wtedy o kulturze potencjalnej. Bywa wreszcie i tak, że symbol zostaje tylko pomysłany jako komunikat ewentualny i wtedy zachodzi przypadek kultury utajonej. Gdy dwie pierwsze postacie należą do zakresu badań „socjologii kultury”, trzecia postać jest w zasadzie poza nią, ponieważ brak tu na dobrą sprawę interakcji międzyludzkiej, która stanowi składnik istotny wszystkich zjawisk interesujących socjologa jako takiego. Oto chyba najgłówniejsza treść omawianego utworu, projektującego rozumienie „socjologii kultury” jako pewnej, że tak powiemy, semiotyki ogólniejszej niż semantyka lingwistyczna i interesującej się głównie nie zagadnieniami syntaksy (czyli stosunków między wyrażeniami) i nie zagadnieniami semantyki (czyli ralecjami oznaczania), lecz przede wszystkim i zasadniczo zagadnieniami pragmatyki (relacji nadawcy symbolu do odbiorcy).

Nieoczekiwane dla sprawozdawcy wyznaczenia zadań socjologii kultury o lingwistycznym zacięciu znajduje potwierdzenie w oznajmieniu, że „przedmiotem socjologii kultury są ... takie akty symbolizacji ... w związku z którymi formułowanie i odbieranie znaczeń staje się zasadniczym i głównym celem ludzkiej aktywności” (s. 174). Ale wyłącza się z zakresu omawianej specjalności wszelkie akty przekazywania sygnałów dla bezpośredniego działania (s. 173). Dlaczego? Dlaczego tak właśnie wydzieloną problematykę nazywać właśnie „socjologią kultury”?

*Socjologia humanistyczna „versus” socjologia techniczna* — taki dał nagłówek swemu rozważaniu porównawczemu Edmund Mokrzycki, a kwestia to ciekawa ze względu na odróżnienie funkcji „humanistycznej” i funkcji „technicznej” badań socjologicznych. Pierwszą z tych funkcji pełni pono ta wiedza socjologiczna, która kształtuje ludzkie postawy i opinie, jest źródłem orientacji społecznych, ułatwia zrozumienie problemów, pobudza do myślenia i rozwija wyobraźnię. Druga funkcja — to dostarczanie wskazówek dla inżynierii społecznej. I oto nasz autor formułuje następujące pytanie: czy to prawda, że „socjologia jest dyscypliną rozszczepioną na dwie części, na dwa gatunki wiedzy, z których jeden pełni funkcję humanistyczną, jest natomiast nieużyteczny, albo stosunkowo tak mało użyteczny, że można ten fakt pominąć — z punktu widzenia potrzeb inżynierii społecznej; drugi natomiast odwrotnie: pełni wyłącznie, lub niemal wyłącznie, funkcję techniczną ... Chciałbym — mówi dalej Autor — pozostawić tu jako sprawę otwartą,



na ile obraz ten jest trafny" (s. 184). A co sądzi sprawozdawca? Mniema on, że wszystkie sumiennie prowadzone badania socjologiczne pełnią z pewnością z większym lub mniejszym powodzeniem funkcję humanistyczną, a niektóre z nich z pewnością pragnęłyby pełnić drugą funkcję, techniczną.

Poruszone w rozważanym wyżej artykule wątpliwości co do pożytku badań socjologicznych — to niektóre tylko troski z długiego szeregu trosk narzucających się obserwatorowi postępu wiedzy ludzkiej. Kto by chciał sobie uprzytomnić obraz całości tych niepokojów, dobrze zrobi, przeczytawszy referat Krzysztofa Kicińskiego pod nazwą *Rozwój wiedzy o człowieku — źródło obaw i nadziei*. Idea przewodnia tego utworu — to próba podważenia argumentacji zbyt uproszczonych na temat prognozy osiągnięć nauki, zwłaszcza nauk o sprawach społecznych, przede wszystkim zaś tych argumentacji, które pragną uzasadnić pesymistyczne przewidywania. Nie brak bowiem obaw, że rosnące znanstwo prawidłowości rządzących zachowaniami się ludzi będzie coraz skuteczniej pozwalało garstce posiadaczy aparatu władzy trzymać w uzależnieniu szerokie masy odsuniętej od władzy ludności. Ale i to chyba jest też prawdą, że wzrost wiedzy o człowieku pozwoli również szerokim kołom w społeczeństwach demokratycznych bronić się z powodzeniem przeciwko roszczeniom posiadaczy dostępu do środków przymusu. Autor zauważa i to również i formułuje znaczny poczet wnikliwych spostrzeżeń na temat warunków sprzyjających pesymistycznym lub optymistycznym prognozom.

Sfera zagadnień wyznaczona przez tytuł artykułu Jana Szczepańskiego, mający brzmienie *Szkoły wyższe a postęp społeczny* — ulega znacznemu planowanemu zawężeniu w toku ekspozycji treści. Zadanie ogranicza się tu do rozważania — głównie *pro futuro* — fragmentu postępu społecznego, zwanego modernizacją, a jeszcze ściślej: określonych jej warunków, mianowicie istnieniu wykształconej siły roboczej motywowanej do pracy wydajnej, oraz sieci dobrze zorganizowanych instytucji planujących. Jak się przedstawiają możliwości realizacji tych warunków u nas w zastosowaniu do szkolnictwa wyższego (które — nawiasem mówiąc — ani u nas ani w świecie w ogóle bynajmniej nie zawsze, wbrew rozpowszechnionej opinii, było kuźnią postępu, co autor wyraźnie przypomina)? Przeciwstawia się on stanowczo pomysłom koncentracji badań naukowych poza wyższymi uczelniami, gdy te miałyby się zajmować wyłącznie nauczaniem. A jeśli planowanie wykształcenia wyższego ma przebiegać nie wedle osobistych zapotrzebowań kandydatów na studentów (zapotrzebowań nieraz bardzo kapryśnych w państwach zachodnich, gdy np. 40% zapisuje się na historię sztuki lub psychologię), lecz wedle społecznych zapotrzebowań na specjalistów (czemu dał początek Związek Radziecki) — to pamiętać musimy, że ta druga metoda wymaga pomocy i podtrzymania przez należytą organizację poradnictwa zawodowego i selekcji wstępnej. Ważne to myśli i warte zapamiętania.

Między wszystkimi artykułami, o których mowa wyżej, a wypowiedzią Jana Strzeleckiego, pt. *Szkoła uczyć*, różnica jest istotna. Mieliśmy dotychczas teksty w zasadzie naukowe, nadające się do czytania na zimno. Ten zaś pozew tętni wzruszeniem, wyraża wstrząs duchowy, przemawia do serc. Przekracza się tu umyślnie domenę „rozumu”. Głosi się i sławi przede wszystkim to, czego się domaga godność ludzka. Zbiera się w jedno wszystkie główne przeoczenia wynikające z doświadczeń doby ostatecznego ucisku i poniżenia. Kto tak jak Autor przeżył te czasy, przecierpiał je i przemyślał, czuje się zmuszonym do zajmowania określonych postaw. Szuka on wartości trwałych dziejowo i powszechnych, odrzuca relatywizm rzekomo równorzędnych preferencji, pragnie współdziałać w walce z wszystkimi formami ucisku, nie akceptuje ułudy doktryn wszystko obiecujących.



Nie podejmuję się streszczać utworu o świetnych walorach literackich, obfitującego w powiedzenia, których pełnia znaczenia wyłania się dopiero z pełni kontekstu.

W świat równie dogłębnych a zgoła innych przemyśleń mądrości życiowej wprowadza czytelnika Magdalena Jasińska ukazując mu problematykę naczelną i styl myślowy osławionego Jiddu Krishnamurtiego. To bowiem stanowi treść właściwą jej roztrząsania noszącego nagłówek *O samozapoznaniu i psychice integralnej*. Jakież tu odmienne od zwykłych u nas punkty wyjścia i drogi dojścia. A informacje są udokumentowane źródłowo; dowodem — przytoczony w skrócie na końcu tekst odczytu myśliciela hinduskiego o procesie dążenia. Mędrzec ów głosi program istotnego samopoznania, jako niezbędnej preparacji działań twórczych. Kładzie nacisk na postulat rzeczywistości samopoznania. Dochodzi się do niego pono pod warunkiem wejrzenia w siebie samego z pominięciem nie tylko wszelkich deformacji intelektualnych, lecz także wszelkich wartości i ocen, w które jesteśmy wpłeceni, zarówno dotyczących tego, co już było lub jest, jak też skierowanych ku przyszłości. Kto się z tym wszystkim upora, ten ujrzy ponoć jako osiągnięcie samopoznania ... osobiwą pustkę własnej rdzennej samotności i wtedy dopiero w aurze uciszenia powstaną czyny twórcze ... (Skąd? Dlaczego?). Słychać tu echa odwiecznych hinduistycznych autokontemplacji i docierania tą drogą do nirwany ... Ale jak podobna jest także ta pusta samotność do obsesji naszych europejskich nowoczesnych egzystencjalistów ... Samopoznanie? Zamiar oczywiście pożyteczny ... Dawno zachęcał do niego Sokrates, a choć i on błąkał się w dziwach ułudy (*dajmonion!*), o ileż jednak trzeźwiej brzmią jego namowy! ... Zawsze w związku z nieuchwytnymi wartościami, ocenami, z uwikłaniem jaźni w sploty własnego i wspólnego z innymi bogactwa.

Adresatami indyjskiego guru są wszyscy, którzy pragną pokierować rozumnie własnym życiem duchowym, natomiast bohaterowie elaboratu Julii Sowy pt. *Niektóre definicje zdrowia psychicznego*, mianowicie Erich Fromm, Karen Horney i inni, przemawiają z pozycji psychiatrycznej zatroskani o sprawdziany zasadniczego odróżniania psychiki chorej od zdrowej. Długi ten artykuł nazywam elaboratem, gdyż pisało się go z pewnością (styl nie jest łatwy) w pocie czoła i czyta się też z wysiłkiem. Ale oplaca się ten wkład pracy, gdyż po dokonanej uważnej lekturze człek czuje się i pouczonym i przekonanym. O czym się jest pouczonym? Przede wszystkim o koncepcjach Fromma na temat istoty zdrowia psychicznego. Wedle niego, dany osobnik pozostaje zdrowym psychicznie, jeżeli staje się w toku rozwoju tym, czym był od urodzenia potencjalnie, jeśli się realizują w pełni zadatki mocy, które ze sobą na świat przyniósł, jeśli nie uległ deformacji przez konformistyczne przystosowanie się do presji aktualnego społeczeństwa ... Człowiek zdrowy psychicznie — to w wizji Fromma uniwersalistyczny, kosmopolityczny rewolucjonista, obcy dominującym w poszczególnych społeczeństwach układom stosunków i ekskluzywizmom (czy nie przypomina się Marcuse, herold światowego studenckiego protestu?). Frommizm — to odwrócenie na nice obiegowego rozumienia psychopatyi jako człowieka nienormalnego, jakoś innego niż wszyscy, w przeciwieństwie do człowieka psychicznie zdrowego, który jest właśnie „normalny”. Czy więc o słuszności tego poglądu czytelnik elaboratu jest przekonany? Wprost przeciwnie, jest przekonany o słuszności krytyki, której poddaje autorka sploty idei Fromma, uwydatniając złudną określoność pojęcia „tego, czym się jest z natury potencjalnie”, ale przede wszystkim okazując, że ma się tu do czynienia z obrazem rzeczywistości urobionym wedle ideologicznych preferencji społecznych. Nie inaczej ustosunkowuje się autorka do doktryny Karen Horney, podobnie jak Fromm upatrującej rdzeń zdrowia psychicznego w realizacji tego, czym kto jest potencjalnie



z natury. Różne są jednakże miarodajne faktycznie dla obu koncepcyj preferencje dążeń społecznych. Człowiek zdrowy psychicznie w ujęciu Karen Horney — to nie żaden zasadniczy opozycjonista w stosunku do lokalnego ładu społecznego, lecz raczej ... typowiec wedle wzoru nowoczesnego pracowitego, pogodnie zrównoważonego, poczciwego, skłonnego do racjonalnej życzliwej kooperacji Amerykanina, wyzbytego (to ciekawe jako rys amerykanizmu współczesnego) indywidualistycznych ambicji. Jeśli tak jest, jak utrzymuje autorka (a uprawia ona krytykę analityczną, systematyczną i dogłębną), to ścieżki Fromma i K. Horney oraz owych innych (np. Masłowa) — są manowcami na drodze dochodzenia istoty różnicy między człowiekiem zdrowym psychicznie a pacjentami psychiatrów.

Tyle tkwi fantastyki w przeświadczeniach ludzi średniowiecza, że nie czuje się wielkiego rozziwu między powyższymi próbami scharakteryzowania psychopatii, a zadaniem zobrazowania *Wzoru osobowego świętego w średniowieczu*, czym się zajmuje Ewa Nowicka. Z pozoru mowa tu o czasach i sprawach dawno minionych, ale tylko z pozoru. Wszak (moje to myśli na marginesie) trwają nadal kościoły, i nabożeństwa w nich, i duchowni, i klasztory, i nie utraciły pełni autorytetu biblia i jej mity światopoglądowe i etyczne. Średniowiecze nie przeszło bynajmniej do muzeów ... A czy w aktualnym wzorcu oficera, oficera właśnie, nie po prostu wojskowego, nie pokutuje jeszcze to i owo ze średniowiecznej feudalnej koncepcji rycerza? Istnieją też jeszcze — i w tym przypadku dobrze, że istnieją — po prostu święte po dawnemu zakonnice, pielęgniarki szpitalne ... Więc problematyka Ewy Nowickiej jest podwójnie interesująca: i czysto historycznie i aktualistycznie ... Cóż ma do powiedzenia o treści jej erudycyjnego artykułu czytelnik, jeśli sam nie jest biegły w znawstwie kultury wieku XIII i nie studiował *Złotej Legendy* Jakuba de Voragine, na którym to ówczesnym dziele hagiograficznym opiera się autorka jako na dokumencie naczelnym, czerpiąc wiedzę również z rozległej literatury współczesnej, owych spraw dotyczącej. Może taki czytelnik jedynie z wdzięcznością przyjąć do wiadomości wyniki dociekań. Mamy tu nie tylko dobrze ugruntowaną typologię świętych średniowiecznych: typy męczennika, pustelnika, misjonarza, dobroczyńcy, ale mamy też niezmiernie interesujący wywód socjologiczno-historyczny wzorów moralnych średniowiecza w związku z tradycją bojową witeziów plemiennych, z obyczajem dworskim feudalów, z infiltracją rozkwitłej owymi czasami kultury arabskiej, z tradycją obyczajową chłopstwa, odrębnością klasową mieszczańskiego kupiectwa, rolą międzyklasowo integrującą duchowieństwa ... Ale całość obrazu mentalności ówczesnej oglądana oczami nowoczesnego oświecenia uwydatnia bodaj przede wszystkim głębię i potęgę przesądu i ciemnoty, choć autorka od siebie tego nie podkreśla. Drobną uwagę: można pisać „Bóg” albo „bóg”, ale nie można pisać raz tak, raz owak. Piszmy lepiej stale „Bóg” nie tylko dlatego, dlaczego piszemy „Bug” i „Narew”, a nie „bug” i „narew”, lecz przede wszystkim dlatego, że ateizm nie ma nic wspólnego z brakiem szacunku dla czyichś ideałów.

Nie trzeba być świętym, by jednak odczuwać *Potrzebę harmonii między uznanymi normami a postępowaniem*, której to relacji poświęca swoją krótką notatkę Hanna Malewska. Doświadczenie pospolite okazuje, że kto zachowa się lub zachowuje się nieraz niezgodnie z tym, co sam uznaje za słuszne, ten popada w stan pewnej niezgodności wewnętrznej i powstaje w nim dążność do jej wyrównania np. bądź przez zobojętnienie na normę przekroczoną, bądź przez wzmoczenie powściągu przeciw jej przekraczaniu, bądź na jeszcze innej drodze. W danym przypadku, jak częstokroć, psychosocjologowie próbują naukowo sprawdzić lub zidentyfikować podszepty wiedzy potocznej. Przeprowadzono tedy



tu i w USA łącznie mały eksperyment na dzieciach szkolnych, narażając je umyślnie na pokusę drobnego oszustwa (a fe!). Wyniki nie są jeszcze obliczone, ale wygląda na to, że „dzieci, które oszukiwały, miały tendencję do bardziej pobłażliwego traktowania oszustwa i do umieszczania uczciwości niżej na skali wartości”.

Adam Podgórecki świadom jest tego, że manipulowanie cudzym zachowaniem się ludzkim dla celów poznawczych jest możliwe tylko jeżeli istotne momenty natury społeczno-etycznej nie sprzeciwiają się podobnej akcji. Rad ucieka się tedy, w kwestiach socjologii prawa, do obserwacji nie wymagającej eksperymentowania. Zdaje on sprawę z obserwacji narad i rozpraw karnych prowadzonych przy udziale ławników, a tytuł jego relacji brzmi: *Utajona obserwacja rzeczywistego działania instytucji*. Utajona — ponieważ osoby kompetentne, a biorące udział techniczny w sądach karnych, bez wiedzy osób obserwowanych dokonywały systematycznych spotrzeń nad ich funkcjonowaniem. Zagadnienie było dość wyraźnie ograniczone: zachowanie się ławników, ich rola w rozprawach i orzeczeniach. Wyniki badań są ciekawe, choć bardzo jeszcze prowizoryczne, gdyż pytania podstawowego kwestionariusza pod wielu względami nie mogły znaleźć odpowiedzi z powodu niedoboru danych. W każdym razie na podstawie analizy 257 rozpraw sądowych przypadków dobranych można było stwierdzić na przykład, że ławnicy reprezentują raczej postawę tolerancyjną (sędziowie — rygorystyczną). Stanowią oni niejako swoistą, kontrolną grupę dla sędziego, ich udział zmusza uczestników procesu do bardziej wszechstronnego doboru argumentów z uwzględnieniem momentów mających znaczenie dla opinii publicznej. Ten wynik badań pozostaje w zgodzie z dotyczącymi funkcji ławników uogólnieniami odnotowanymi w literaturze przedmiotu.

Bardzo aktualistycznie brzmi nagłówek artykułu Barbary Weber: *Socjalistyczny wzór osobowy: ideologia a opinie młodzieży*. Jest to próba rekonstrukcji wzoru osobowego zawartego w statutach i innych dokumentach oficjalnych Związku Młodzieży Wiejskiej, Związku Młodzieży Socjalistycznej i Związku Harcerstwa Polskiego, a także trzech tygodników tych zrzeszeń z roku 1965. Dla porównania istotnej zawartości wymienionych źródeł z wypowiedziami samej młodzieży autorka przeprowadziła w tymże roku badania ankietowe 870 osób w wieku od 16 do 19 lat. A oto główne wyniki tego, dziś już tylko historycznego dociekania. Na podstawowe komponenty wzoru socjalistycznego upowszechnianego przez organizacje młodzieżowe składają się: poczucie odpowiedzialności za świat, który człowiek powinien ulepszać, i związane z tym zaangażowanie w życie społeczne, oraz kult pracy i zamiłowanie do nauki. Dalej następują zwykłe wartości etyczne, takie jak negacja egoizmu, godność, odwaga, wytrwałość, uczciwość, sprawiedliwość i inne, a pośród nich pewien element specjalny, mianowicie patriotyzm połączony z internacjonalizmem rozumianym jako poczucie więzi z ludźmi pracującymi oraz walczącymi o wolność i prześladowanymi na świecie. W stosunku do tak zakreślonego wzoru wzór deklarowany przez młodzież jest mniej dynamiczny wskutek manifestowanego przez część młodzieży poczucia bezsilności, a zarazem bardziej emocjonalny i egocentryczny, gdyż badani przywiązują znacznie większą wagę do uczuć przyjaźni i szczyrych stosunków. Artykuł trzeba czytać uważnie, wnikliwie i krytycznie, bo pisanie o tych sprawach nie należy do zadań najłatwiejszych.

Innego rodzaju trudności miał przed sobą Wiesław Wiśniewski obrawszy jako temat dociekań „*Niektóre czynniki powodzenia na studiach*” (dlaczego nie „w studiach”?). Notorycznie bowiem efekty pracy młodzieży akademickiej zależą od wielu czynników powiązanych zawiłymi zależnościami. Przedmiotem zainteresowania jest tutaj zagadnienie, jak dalece i w jaki sposób przystosowanie się początkującego



studenta do uczelni wyższej zależy od jego warunków bytowych i od stopnia jego nerwowości. Zbadano metodą ankietową status co czwartego studenta pierwszego roku siedmiu warszawskich uczelni wyższych w roku akademickim 1965/66. Badanie objęło w sumie 1743 osoby. Zdaniem autora, który podaje cyfry w licznych tabelach porównawczych, obliczenie wyników uzasadnia kilka wniosków. Pewne z nich odpowiadają rozpowszechnionym oczekiwaniom, np. że młodzież znajdująca się w lepszych warunkach bytowych przystosowuje się do uczelni łatwiej, że mniejsze jest na ogół nasilenie objawów nerwicowych u zadowolonych z warunków bytowych niż u niezadowolonych. Ale niektóre wnioski są zaskakujące. Okazuje się pono, że odsetek studentów nieprzystosowanych jest w Akademii Medycznej czterokrotnie mniejszy niż na Uniwersytecie, a bardziej niż pięciokrotnie mniejszy niż w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. Niespodziewany jest też np. brak zależności między oceną własnych warunków bytowych a średnią uzyskiwanych przez studentów ocen w pierwszym semestrze nauki. Dziwny jest również ten wynik, że np. Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego należy do nielicznych uczelni, w których odsetek studentów z silną nerwicą jest wyjątkowo wysoki ... W poruszonych tu sprawach potrzebne są dalsze badania.

Ten artykuł jest ostatnim członem zbioru rozpraw składających się na księgę jubileuszową.

Zawiera ona jednak nadto tekst pełny cennej informacyjnej treści, mianowicie bibliografię prac Marii Ossowskiej od roku 1919 do roku 1968, a więc prawie do ostatniej chwili i za okres czasu prawie 50-letni. Uderza w niej rozległość wachlarza poruszonych zagadnień, zrazu bardziej filozoficznych (sprawozdania z dzieł ogólnych, semantyka, nauka o nauce, etyka filozoficzna) potem raczej matematycznych, wreszcie z generalnym przesunięciem akcentu na historyczno-socjologiczne znanstwo stylów życia i teoretycznych tych stylów uświadomień przy jednoczesnych rzutach myśli, po dawnemu, ku problemom analityczno-pojęciowym oraz — w związku z nabrzmiałymi kwestiami moralnymi rzeczywistości społecznej — ku tym właśnie zagadnieniom już pozanaukowym, jak problem kary śmierci i inne. Tematyka prawie wszystkich utworów składających się na księgę jubileuszową pozostaje w bliskim pokrewieństwie z problematyką przypomnianą w tej bibliografii. Czy mamy więc do czynienia z głosem zbiorowym szkoły myślicielskiej? Oto odpowiedź. Profesor Maria Ossowska, bardzo zasłużona jako uczona, jako autorka i jako pedagog uniwersytecki skupia koło siebie grono moralnie i intelektualnie spójne. Jego uczestników nie łączy idea określonej reformy etycznej czy w ogóle społecznej ani odrębna idea socjologiczna lub historyczna. Łączy ich natomiast oddźwięk wewnętrzny na sprawy etyczne i mające w nim swe źródło żywe zainteresowanie naukowym poznaniem moralności. Naukowość — w rozumieniu wspólnym tego grona — to opis analityczny za pomocą terminów o ustalonych, uświadomionych znaczeniach, to beznamiętne, z zawieszeniem reakcji emocjonalnych rozumienie rzeczywistości, to znanstwo empiryczne — wolne od deformującej spekulacji — autentycznych społecznych uwarunkowań rozmaitych historycznie danych form moralności, to widzenie rozległe jej powiązań z innymi stronami i przejawami życia myślących i czujących istot ludzkich uwikłanych w skomplikowaną a bardzo różną w przejawach więź organizacji społecznej. Piękny to program, piękna dotychczasowa jego realizacja, obyż losy przez długie lata sprzyjały podobnym cennym zamierzeniom.

*Tadeusz Kotarbiński*